

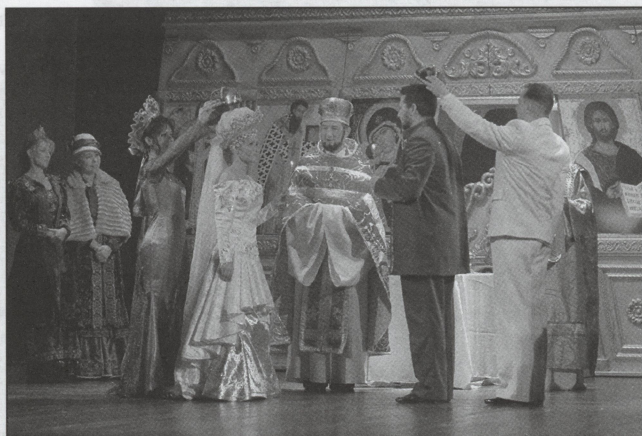
Decyzja o zaadaptowaniu *Anny Kareniny* Lwa Tołstoja jest miarą rosnących z roku na rok ambicji Gliwickiego Teatru Muzycznego i jego kierownictwa pod wodzą Pawła Gabary. Niewątpliwie odejście od formuły teatru wyłącznie operetkowego było słuszne, co poświadczają kolejne mniej lub bardziej udane premiery. A przecież pamiętamy, jaki ciężki, niemal krwawy bój toczył się o zachowanie status quo. Władze Gliwic nie ugięły się jednak, wsparły Gabarę, zawierzyły mu.

Po latach wiemy, że dobrze zrobiły. Gliwicki Teatr Muzyczny stał się kulturalną wizytówką miasta, które chce być nowoczesne i wychylone w przyszłość. Z tą sceną Gliwicom jest – by tak powiedzieć – „do twarzy”, Gliwicki Teatr Muzyczny jest wręcz hołubiony przez tamtejszych samorządowców, którzy – zdaje się – nie tylko dobrego słowa, ale i grosza nie skąpią.

I niechby inne śląskie miasta taką wagę przykładły do podtrzymywania – nie tylko na duchu – instytucji kultury powierzonych ich pieczy. A przecież wiemy, że bywa różnie.

Ambicje ambicjami, a jednak nieraz warto liczyć zamiary na siły. A te są, cokolwiek by dobrego nie powiedzieć o gliwickim zespole, ograniczone. *Anna Karenina* tego dowodem, bo trzeba było w kilku przypadkach sięgać po tzw. artystów gościnnych. Rzecz jasna, to nie grzech, to już norma w Polsce, zwłaszcza w przypadku wielkich produkcji, a taką jest *Karenina*. Tu jednak ten szeroki zaciąg z zewnątrz sprawił, że spektakl nie skleił się. Wokalnie wyraźnie dominowali „swoi”, aktorsko – „obcy”. Choć nie w każdym przypadku. Nawet jeśli w tym rozróżnieniu jest jakieś uproszczenie, to na pewno zdarzyły się tu różne style gry aktorskiej, a może raczej – różne możliwości, różne techniki i różne przyzwyczajenia sceniczne. Jerzy Głybin na przykład, grający Aleksego Karenina, jedną z najważniejszych ról w tym spektaklu, nie najlepiej czuł się w okowach eklektycznej i silnie różnicowanej muzyki Andrzeja Zaryckiego, ale tam, gdzie można było silniej zarysować dramatyczno-teatralny konflikt między Kareninem a jego żoną Anną, tam górę brało bogate doświadczenie Głybina w wielkim repertuarze klasycznym i psychologicznym. I wtedy na scenie brylował.

Inaczej Małgorzata Długosz – w roli tytułowej. Aktorka obdarzyła Annę kobiecym ciepłem, ale i zdecydowaniem, wręcz silną namietnością w dążeniu do celów, na przekór konwenansom społecznym. Można by rzec, iż w tak skon-



Jest też scena w cerkwi, zaśpiewana i zagrana perfekcyjnie, w pięknej scenografii, ale cóż z tego, skoro ona jest nieco ekstrawagancko „dolepiona” do spektaklu. Jest z innej teatralno-stylistycznej „parafii” niż cała reszta spektaklu.

Tołstoj melodramatyczny

TEATR

struowanej roli doczytać się można podstawowego sensu, jaki stanął u podstaw zaadaptowania arcydzieła Tołstoja dzisiaj. Oto widzimy niemalże sufrażystkę (bo nie chcę powiedzieć: feministkę), gotową wszystkimi dostępnymi środkami walczyć o siebie, o swe uczucia, o prawo do nich. Czyżby miała to być delikatna aluzja do współczesnych debat o roli kobiety w społeczeństwie, o jej walce z dominacją mężczyzn i mężów? Być może. Jeśli ktoś tę aluzję zobaczy albo będzie chciał zobaczyć, to i łatwiej przyjdzie mu wysiedzieć przez trzy godziny z okładem w teatralnym fotelu.

Inna rzecz, że nie jest jasne, co takiego Anna dostrzegła w Aleksym Wrońskim, że aż gotowa była porzucić męża, wprowadzić surowego i trochę nieprzyjemnego, ale przecież nie odpychającego czy ordynarnego, ba, jednak głęboko przeżywającego odejście żony, potem jej chorobę. Nie jest jasne, bo grający Wrońskiego Piotr Warszawski nie wyszedł poza schemat bezbarwnego bawidamka. To nie jest osobowość. Za tą męską urodą nic się nie kryje. Małgorzata Długosz zaś, choć wiele serca włożyła w tę rolę, jednak nie wkracza w obszar prawdziwego dramatu i teatru co się zowie dramatycznego, trwając w schemacie sentymentalnej i nade wszystko melodramatycznej opowieści scenicznej. Ale czy to tylko jej wina? Realizatorzy nazwali swe widowisko „dramatem muzycznym”. Taki gatunek w postaci „czystej” – chyba? – nie istnieje. I w tym największy problem tego spektaklu. Bo nie jest „dramatem” sensu stricto i nie jest klasycznym „spektaklem muzycznym”. No i nie jest operą czy musicaliem.

Najłatwiej byłoby powiedzieć, że gliwicka *Anna Karenina* jest nierówna, bo obok scen pięknie zaaranżowanych (choćby ta na hipodromie, na polowaniu czy w teatrze operowym), wzmacnianych ciekawymi układami choreograficznymi, są sceny nudne i melodramatyczne, w których właściwie tylko Wioletta Białk jako Kitty Szczerbacka broni się, wia-rygodnie wydobywając z siebie emocje kobiety zranionej, z trudem dochodzącej do równowagi psychicznej, szukającej dla siebie nowej przestrzeni życia i w końcu odnajdującej ją w związku małżeńskim z Konstantym Lewinem (Michał Musioł z Wiolettą Białk w jednym z songów tworzą bodaj najlepszy duet wokalny w tym widowisku). Jest też scena w cerkwi, zaśpiewana i zagrana perfekcyjnie, w pięknej scenografii, ale cóż z tego, skoro ona jest nieco ekstrawagancko „dolepiona” do spektaklu. Jest z innej teatralno-stylistycznej „parafii” niż cała reszta spektaklu.

Mieszają się zatem style scenicznych wypowiedzi, mieszają się dialogi z songami, które nieraz zbyt brutalnie akcję opóźniają, choć reżyser Józef Opalski bez przerwy trzyma rękę na pulsie i w dobrym tempie, bardzo sprawnie prowadzi narrację. Przeskakujemy z miejsca na miejsce bez przeszkód, nie widać żadnych szwów, bo Opalski świetnie dogadał się ze scenografem Ryszardem Melliwą, a ten miesza czasy, przestrzenie, klimaty, światła, ich barwy (Ryszard Czernow z wielką odwagą wyreżyserował światła).

Duża to produkcja, z niekończącą się listą wykonawców, muzyków, asystentów, współpracowników, techników, maszynistów sceny etc. Wszystkie pracownice gliwickie miały co robić (jak zwykle świetne kostiumy Zofii de Ines). I wszyscy ludzie gliwickiego teatru włożyli zapewne w to dzieło wiele godzin pracy, niecodziennego trudu, mozołu i ambicji. A przecież trudno mówić o sukcesie. Bo nie powstał na scenie „dramat muzyczny”, a tylko – wbrew intencjom – melodramat.

KRZYSZTOF KARWAT

Anna Karenina. Dramat muzyczny wg Lwa Tołstoja. Adaptacja: Krzysztof Korwin Piotrowski. Muzyka: Andrzej Zarycki. Tłumaczenie powieści: Kazimiera Iłakowiczówna. Teksty piosenek: Michał Chłudziński. Dekoracje: Ryszard Melliwa. Kostiumy: Zofia de Ines. Choreografia: Jacek Badurek. Reżyseria: Józef Opalski. Premiera 20 kwietnia 2007 roku w Gliwickim Teatrze Muzycznym.